

LUNA
KOSINSKI

CHWDAB

/kroniki 2005-2006/

© Copyright by Luna Kosinski, 2006
© Copyright for this edition by
Wydawnictwo internetowe e-bookowo, 2011

Grafika i projekt okładki: Luna Kosinski
ISBN 978-83-62480-63-0

e-bookowo.pl
wydawnictwo internetowe

Wydanie drugie, zmienione

Patronat medialny:



Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości zabronione.

CH.W.D.A.B. KRONIKI 2005–2006

LISTA ZAPISKÓW

2005	7
ODRĄBANA GŁOWA KROWY	4
WYGRANA	16
MŁODZI PISARZE POLSCY	21
TEN DZIEŃ	27
ROZSTANIE NR 1	31
ROZSTANIE NR 2	34
WOLNE MIASTO KRAKÓW	36
KURWY	42
PROKOCIM	59
SYSTEM	63
ROCK AND ROLL ZDECHŁ	71
BENY-16	75

2006	80
SUMIENIE	81
IDEAŁY	84
ZNOWU KURWY	88
SNAJPERZY	91
BABCIA	97
WOJNA	101
WYWIAD CZ. I	104
ŻYCIE W STOLICY	108
MLEKO	112
BOGUSŁAW B.	114
KIBEL	119
KWIATUSZEK	120
INNA PRAWDA	127
WYWIAD CZ. II	129
CZERWONY KAPTUREK	132
WIRUJĄCE SŁOŃCE	137
NOWY ORLEAN	142
BOMBA	144
WERSJA ARKA	147
GÓWNO	151
BERLIN 1945	156

2005

2005-04-29

TEN DZIEŃ

Umarł papież. Ten, którego wszyscy mieli na myśli słyszając słowo „papież”. Innego nigdy nie było. Wszyscy bardzo się przejęli. To był chyba jedyny Polak, który zaszedł tak wysoko w instytucjach międzynarodowych. Ale już go nie było wśród żywych. Na mszy w niedzielę było 3 razy więcej ludzi niż zwykle. Ubrani w swoje najlepsze ubranka śpiewali, modlili się, chodzili do spowiedzi i jedli oplatki. Aż wyjedli wszystkie. Wzruszał sam widok tylu wzruszonych ludzi. W oknach jak Prokocim długi i szeroki wisiały plakaty z papieżem i czarną przepaską. Flagi supermarketów były opuszczone do połowy. Świat zmienił się i nawet w telewizji nie było reklam, a w kioskach nie było już widać pism z cipeczkami. W poniedziałek, w centrum Krakowa, na stadionie bratali się kibice. Wisła i Cracovia razem. Skandowali „Pojednanie dla papieża”. To było z tego wszystkiego jeszcze bardziej niezwykle, niż brak pism z cipeczkami w kioskach. Aż w telewizji pokazali to bratanie się kibiców, a ludzie widząc to, z niedowierzaniem kręcili głowami. Bojówkarze Cracovii z Prokocimia byli jeszcze bardziej zdziwieni niż inni. Oni z nikim się nie bratali i nie mogli zrozumieć, jak ktoś mógł się w ich imieniu pogodzić z Wiślakami. Prokocim był daleko od centrum Krakowa i obowiązywały tu inne zasady. Bojówkarze Cracovii, pod piękną nazwą „Łowcy psów” prowadzili wyczerpującą wojnę w południowym Krakowie, napierdalając się ze zdesperowanymi niedobitkami Wiślaków.

I z nikim się nie mieli zamiaru bratać. Nie na darmo na budynku biblioteki w Prokocimiu Nowym pewien uliczny poeta napisał sprayem: „W Prokocimiu, mej krainie, zmrok zapada – piesek ginie” – bo tak właśnie było.

Łowcy siedzieli na ławkach, przed swoimi blokami, bez szalików, bez słowa; tak, jak siedzi gospodarz na swojej ziemi. By jej bronić. Nie mówili nic, bo nie było nic do powiedzenia. Papież umarł. Szkoda człowieka – zresztą przecież też szalikowca Cracovii – ale to nie miało nic do rzeczy w ich podejściu do świata. Oni przecież też trwali w świętości. W Świętej Wojnie na wszystkie rodzaje broni: noże, palki, siekiery, grabie i motyki. Gdyby mieli bombę atomową, to i jej by użyli. Walczyli od pokoleń, jak sięgnąć pamięcią. Był stan wojenny – kibice się napierdalali. Solidarność przejmowała władzę – kibice się napierdalali. Komuniści wracali do władzy – kibice się napierdalali. Prawica znowu przejmowała władzę – kibice dalej się napierdalali. Dlaczego? Były jakieś konkretne powody? Pewnie, że tak – tysiące! Ale sekret jest taki, że one były wszystkie nieważne. Wszystkie intelektualne rozważania i argumenty były zawsze wytaczane już po tym, jak polala się krew i były rzucane tylko po to, by uzasadnić coś, co się i tak działo. Wojna się po prostu dzieje i nie da się jej zatrzymać ot tak sobie.

A Arek miał papieża, jedzenie opłatków, kibiców i wszystko to, co się działo dookoła w dupie. Dawno temu zdecydował, że się stąd wyrwie. Nie lubił Prokocimia, nie lubił nikogo i niczego. Zwykle spędzał czas na rynku w Krakowie, spacerując w tłumie turystów, udając przed sobą samym, że jest jednym z nich. Jednym z tych, którzy są tu na chwilę i gdy tylko zapragną wsiąść w samolot

i następnego dnia będą zupełnie gdzie indziej. Arek siedział przed siebie. Na ławce obok siedział Ciciu. Kim był Ciciu? On był jednym z Łowców Psów i nikogo się nie bał. Miesiąc wcześniej wrócił ze szpitala jeszcze bardziej zawzięty i niebojący się śmierci, niż kiedykolwiek. Tatuaż z napisem „Cracovia” na jego piersi był teraz przecięty blizną biegnącą od litery „o”, daleko za literę „a”. Ciciu ćmił fajkę i siedział na ławce, a pod ławką stała butelka piwa. Siedział i szeroko otwartymi oczami patrzył w kierunku Biezanowa, jakby próbował go zobaczyć poprzez stojące mu na drodze bloki. Nie planował w myślach przyszłych błyskotliwych akcji, ani nie wspominał przeszłej chwały. Pił alkohol i miał to uczucie, jakie ogarnia żołnierza odpoczywającego między jedną bitwą, a następną: całkowite, obezwładniające uczucie spokoju. Obok niego siedziała dziewczyna. Wyglądała może trochę jak prostytutka, ale nią nie była. Ciciu po prostu był estetą i lubił patrzeć na swoją kobietę, pokazującą się światu w pełnej krasie. Czerwone jak krew usta. Kolczyki duże na szerokość kasetetu. Cycki na wierzchu, jakby właśnie wstała z łóżka i nie zdążyła się zapiąć. Nogi szeroko rozstawione, jakby nigdy się nie zamykały. Bo dla niego nie zamykały się nigdy. Ciciu wiedział, że życie jest krótkie i dlatego chciał, aby w każdej chwili wszystko było dostępne na wyciągnięcie ręki. By nic nie odkładać na jutro. Był jak grecki filozof, wyznający doktrynę o nieuchronnej śmierci, przychodzącej nie wiadomo kiedy, którą można zwyciężyć tylko żyjąc pełnią życia. To dlatego, ciągle leżała obok niego butelka i zawsze miał w kieszeni pełną paczkę papierosów. Ciciu nie wiedział, że jest równy antycznym filozofom – po prostu siedział i kończył ćmić szluga. Arek przechodził

właśnie obok niego. Wracał z jakiegoś debilnego spotkania pod oknem papieża. Nie było wcale tyle ludzi, ilu się spodziewał, a ci, którzy byli, tylko śpiewali i kładli świece. Nie stało się nic, co warto by było zapamiętać. Arek idąc, patrzył pod swoje nogi, wstydząc się swoich naiwnych nadziei, sam nie wiedział nawet, na co. Zobaczył jednak nagle nogi dziewczyny Ciecica i podniósł wzrok. I znów uwierzył, że Bóg jest dobry i mądry zsyłając na ziemię kobiety ładne, głupie i rozwiązłe. Zatrzymał się, patrząc chciwie na jej cycki, wsadził ręce głębiej w kieszenie, dotykając fiuta. Stał w miejscu i patrzył na nią łapczywie. Cieciciu dopił piwo i wstał. Arek dostał strzałę w rękę i zatoczył się. Nie odwracając się już do nich, poszedł szybko dalej.



Luna Kosinski – pisarz polski młodego pokolenia, związany z Krakowem. Według własnych deklaracji, syn znanego polsko-amerykańskiego pisarza Jerzego Kosińskiego, urodzony w Nowym Jorku około roku 1980. Deklaracje takie jednak należy uznać jedynie za symboliczne nawiązanie do postaci tego pisarza, zapowiedź dowolnego manipulowania wątkami autobiograficznymi w swojej twórczości, a także umieszczania w niej drastycznych opisów obyczajowych. Pisarz nie udziela informacji na swój temat, ani nie zdradza rzeczywistego imienia i nazwiska. Jest autorem kilku książek, z których pierwszą napisaną i wydaną jest „CH.W.D.A.B. Kroniki 2005-2006”. Napisana bezpośrednim, wulgarnym językiem mieszanka pamiętnika i manifestu nienawiści wobec świata. Cechą charakterystyczną całej twórczości Luny pozostaje umieszczanie w niej rzeczywistych zdarzeń i sytuacji w formie mocno zdeformowanej. Następne, przygotowane do wydania książki są już jednak zupełnie odmienne, jeśli chodzi o tematykę i język.